NUMER 36. DNIA 16. WRZEŚNIA 1906 ROKU. ROK XIV.

TYDZIEŃ

DODATEK
LITERACKO-NAUKOWY „KURJERA LWOWSKIEGO“
POD REDAKCJĄ BOLESŁAWA WYSŁOUCHA.

O „WINĘ i KARĘ“.

(Odpowiedź na artykuł p. Adama Zagórskiego).

Zawsze z pewną przykrością czytałem odpowiedzi autorskie na ocenę ich prac, kłócącą się z ich mniemaniem o tych rzeczach; bowiem najczęściej wywoływały je albo podrażniona próżność albo równie smutne nieuświadomienie sobie tego, iż jak różne są stopnie rozwoju, na jakich się ludzie znajdują, tak i zdania o tej samej rzeczy muszą być różne. Gdy na szczęście zwolon jestem od tych zwyczajnych pobudek, to przecie nigdy nie odpowiadałbym na ocenę prac moich, taką lub owaką, a to z przyczyn: iż zaczepienia danej mojej pracy nie uważam jako zaczepienie mego przekonania, powtóre zaś uważam, iż najczęściej pomiędzy twórcą a krytykiem niema porozumień zasadniczych, a często porozumień żadnych. (Zatem i zaczepienie przekonania winnoby bez odpowiedzi pozostawać, co jednakowoż się zazwyczaj nie dzieje, z racji, iż podobne polemiki coś uświadamiają. Racja względna; najczęściej jest, że jeden mówi n. p. o walącym się domu, a drugi o belkach. I ci już są bardzo blizko siebie).

W wypadku niniejszym żaden z powyżej zaznaczonych nakazów przemilczenia nie ma w mej świadomości pobłogi. Skłoniony jestem do odpowiedzi z powodów, iż: 1) zaczepiono mię w mojej drodze, w moim zamiarze przejścia; 2) w dowodzeniach krytykującego widzę dużo dobrej woli, sumienności i zrozumienia rzeczy, co tembardziej utwierdzać może sąd mylny, już z założenia wynikły, a drodze mej szkodliwy; 3) między mną a krytykiem widzę możliwość porozumień.

P. Adam Zagórski w artykule, drukowanym w „Tygodniu“*) podjął się udowodnić na podstawie dwóch moich ostatnich dramatów („Ofiara“, „Wina i Kara“), iż „forma dramatu obca jest zasadniczo mojej organizacji twórczej i że nie jestem zgoła „dramaturgiem, ale poetą liryczno-refleksyjnym“.

Nawiasem: przylepianie etykiet ludziom żywym podług recepty dawniejszej krytyki nie przystoi umysłowi nowoczesnemu. Ale o to mniejsza. Chodzi o zaczepienie drogi mej, o zakwestjonowanie całej mojej — a więc i przyszłej — twórczości dramatycznej. I to na postawie dwu wymienionych dramatów. Rozpatrzmyż więc zarzuty przeciwko tym dramatom podniesione.

„Ofiara“. Już nazwaniem tego utworu „fragmentem w trzech aktach z kart 46 r.“ dałem do poznania, iż nie uważam go za pełny dramat, tem mniej za dramat 46. roku, jaki się nam jako obraz historyczny zjawia. Fragmentem też jest w istocie — i z „krwawych kart“ i z cyklu, jaki zamyśliłem był, a w którym miałem „główną część akcji przenieść na wieś“ (Pomsta), „dwór i wieś naświetlić“ i „nieporozumienie stron obu między sobą i z rzeczywistością uczynić tragicznym (?) szkopułem akcji, jakby“ — mówię za p. Zagórskim — „postąpił dramaturg z powołania i zawodu“. Tego „nie zrobiłem, nie chciałem zrobić“, ale z innych przyczyn, niż p. Zagórski twierdzi. Dość, że pozostał z cyklu napisany fragment, i jako taki (co widoczne) winien być rozpatrywany. Chodziło mi w nim o pokazanie, iż w ogóle jednostka tylko uczuciem zbrojna pada „ofiarą“ w starciu „działających sił“, ale głównie chodziło mi o nastrój przed wybuchem, o to powietrze dramatyczne, jakie ma na serca powiać od wydarzeń. Podobny zamiar autora widzę n. p. w „Warszawiance“. O ile temu zamiarowi w „Ofierze“ odpowiedziałem, sama rzecz udowadnia (jak się komu widzi), i o to nie byłem zaczepiony; gdy zaś p. Z. podsuwa inny temat dramatu z tego czasu, przyznaję, iż miałem zamiar podobny napisać, a w „Ofierze“ nie zuży-

*) „Tydzień“ Nr. 29. i 30. (art. „O dwu dramatach Orkana“).

tkowałem tematu tego, z tej prostej przyczyny, iż powyżej zaznaczony zamiar ramy pomienionego fragmentu dostatecznie wypełnia. Zresztą nie zatrzymuję się dłużej nad „Ofiarą“, bo chodzi mi o wniosek główny, a sam p. Zagórski „nie przeczy, iż gdyby ten tylko dramat na dowód twierdzeniu, że dramaturgiem nie jestem, miał postawić, nie mógłby sparować zaprzeczeń“.

A więc rozchodzi się o „Winę i Karę“. Tem lepiej. Bo gdy „Ofarę“ napisałem w czasie, kiedy miałem jeszcze dość mgławicowe pojęcia o dramacie, to „Winę i Karę“ pisałem z całą świadomością swej drogi, z pewną już, własną orjentacją w tej dziedzinie. I dziwię się, jakie p. Zagórski może widzieć podobieństwo w traktowaniu pisarskiem tych dwu rzeczy (oddzielonych od siebie pięcioma laty — rozwoju).

W „Winie i Karze“ chodziło mi: 1) o pokazanie dramatu duszy (Anny), szarpanej trwogą na podstawie faktu czy złudzenia z przyczyny etyki nabytej; 2) jak się rzecz ta przedstawia człowiekowi (owczarz), który w rozwoju swoim naturalnym doszedł do rozumienia przyczyn piekła, przez ludzi sobie tworzonego. Jako autor, godząc się w tem z owczarzem, i nie uważając rzeczy tych za tragiczne, t. j. cierpień duszy, wynikłych ze współżycia różnych ras duchowych z sobą (moja nienapisana teorja) albo z braku uświadomienia dalszego, przecie z umysłu ochrzciłem rzecz „tragedją“ i dałem jej tytuł tak powszechny (jako dramatyczny problem) właśnie dla podkreślenia czegoś przeciwnego. Zaś co do formy wykonania (już jako przyjętej w podtytule „tragedji“) chodziło mi o to, iżby rzecz, w pewnej mierze stylizowana, nie zatracała cech realistycznego traktowania. — Rzecz więc z umysłu osłabiłem (jeżeli to jest osłabienie); zamiast konieczności tragicznej, dałem możliwość dramatyczną; przez wprowadzenie „zbytecznej postaci owczarza“, jak twierdzi p. Sten, osłabiłem tragedję, za jaką on rzecz uważa, i nie idąc za kanonami, nie napisałem dramatu, jak znowu p. Zagórski twierdzi. Otóż ani nie myślałem pisać tragedji dla rozkoszy Stena, ani dramatu podług wskazań p. Zagórskiego.

Przy rozpatrywaniu „Winy i Kary“ szan. krytyk nie szedł za zamiarem autora, czy i o ile zamiar został wykonany, dlatego przy podnoszeniu zarzutów miał jakiś dramat swój, na tym temacie osnuty, na myśli. Wszystkie też bez mała zarzuty, jakie p. Zagórski odnośnie do „Winy i Kary“ stawia, są nijakie.

Przejrzyjmy je kolejno:

1) „Z wyjątkiem owczarza i Anny inne postaci zarysowane są ledwo“, bo tak wypadło z założenia. 2) „Sztuczność w faktach i osobach“ — zarzut za ogólnikowy i winien być rozdzielony. „Sztuczność osób“ wynika z ich stylizacji, a „dwa jedyne fakty“ dramatu są dość umotywowane (odnośnie do zamiaru). Pierwszy (t. j. fakt kazirodztwa) nie koniecznie musi być faktem, może być pozorem. A „skąd w owej zamożnej (!), uczciwej i pobożnej chacie chłopskiej taki występek“ — no, to już pytajmy o to moralistów, statystów, nie autorów. 3) „Rzucenie się dusz ku sobie w jednym momencie“ dostatecznie jest ze strony Łukasza umotywowane (zważając na zwięzłość ekspozycji), choćby w słowach: „Podobna całkiem do matki, gdy ta była młodą“, a ze strony Elżbiety jej histeryczną naturą. 4) „Śmierć Anny z powodu cierpień psychicznych — wiemy o tem dobrze — jest“ możliwa. (P. Zagórski mówi: „niemożliwa“). 5) „Postać Anny w gazdowskiej chałupie jest też absolutnie“ możliwa. (P. Zagórski mówi: „nierzeczywista“). Rzeczywista jest, bo jest żywa, bo ma rumieńce życia, a ta „gazdowska chałupa“ może być i w Norwegji. 6) Zarzut co do analizy, względnie jej wyrażania. Trafnie wyławia p. Zag. zaniedbanie. („Jak nie on, to myśl odeszła go we śnie i przyszła zabić“ — dwuwiersz zanotowany w pierwszej redakcji i z zaniedbania ostawiony), ale znów obok śmieszny zarzut stawia; przytoczywszy ustęp (słowa Anny), podnosi jego „prostotę, subtelność“, a potem powiada: „z takim doborem porównań analizę swych cierpień przeprowadza literat-poeta, ale nie człowiek obłąkany bólem“. Więc „człowiek obłąkany bólem“ powinien chyba jęczeć, używać nieartykułowanych dźwięków, czy jak? A jakże wyrażały swój ból bohaterki greckich tragedji? 7) „Chwilami zdaje się, jakby ktoś dekadenckie towarzystwo ze „Złotego runa“ lub t. p. sztuki sprosił do wiejskiej chaty i urządził przedstawienie“. Całkiem poważnie na ten żart powiadam, że istotnie mam zamiar dać sztukę, któręby w jeden wieczór można grać w sukmanach chłopskich, a w drugi w tużurkach — bez grzechu przeciwko realizmowi.

Pomijam inne zarzuty, bo, jak zaznaczyłem już, nie chodzi mi o zarzuty przeciw sztuce, tę można oceniać różnie — chodzi mi o wniosek główny. Wypadałoby jeszcze nad postacią owczarza się zatrzymać, której p. Zagórski tyle miejsca w swym artykule poświęca, ale i to poboczne,

choć z tej postaci p. Zag. wniosek swój (z pozorami logicznymi) niekonsekwentnie wyprowadza.

Zarzut główny p. Zagórskiego, z jego pojęcia o istocie dramatu wynikły, jest, iż „fakta są właściwie poza sceną“. Co do tego „poza sceną“ zarzut byłby słuszny, gdyby na scenie były tylko relacje, opowiadania o tem, co się stało.

Co p. Zagórski uważa za dramat? „Sceniczną grę działających sił“. Istotnie i to może być dramatem. Ba, ale p. Zagórski twierdzi, że dramatowi musi nie zbywać „na momencie gry działających sił“, inaczej nie jest dramatem. To już kwestja. Gdzież podzieć wszystkie dramaty wewnętrzne i ich autorów, dramaturgów? Gdzież wreszcie podzieć życie, to realne, o które się tak p. Zagórskiemu i w stylizowanych utworach rozchodzi, a w którem się większa część faktów dzieje „poza sceną“?

Tej „gry działających sił“ p. Zagórski w „Winie i Karze“ nie widzi. Naturalnie. Więcej pod tym względem zadowalnia go „Ofiara“. Gdyby wziął jeszcze pod uwagę dawniej pisany „Skapany świat“ dowód (o obcej mi formie dramatu) byłby, przypuszczam, trudniejszy. A więc jak? Rozwój wsteczny?

Zdaje mi się: dwie zgoła różne rzeczy opętały umysł p. Zagórskiego, gdy dramaty moje rozważał. Pierwsze, to jego pojęcie o dramacie w ogóle, stąd miara i pewność swego kryterjum, a drugie, to wrażenie, jakie sobie o mnie z prac innych urobił, a tu napotkał potwierdzenie w postaci owczarza. I stąd wniosek. Wniosek mylny; bo jeśli chodzi o zakres twórczości „liryczno-refleksyjnych“ organizacji, to n. p. Tetmajer, liryk, daje epiczne fragmenty z Podhala, a Żeromski, „refleksyjny-liryk“ daje istotną tragedję „Popioły“; jeśli zaś chodzi o formę dramatu, to ta może być najróżniejsza i zgoła nawet nowa. — Tę pewną nowość w traktowaniu zaznaczyłem powyżej we „Winie i Karze“. Chodzi mi o wykazanie (w dramacie), iż „temat tragiczny“, jaki zwyczajnie jest lęgnią „dramatu“, nie jest istotnie tragicznym (a więc i dojście do pokazania w dramacie, co uważam za tema tragiczne, stałe). W tej drodze mię zaczepiono; zaczepiono traktowanie tematu. Więc malarz, który daje odniesione wrażenie z krajobrazu, nie jest tak samo malarzem, jak ten, który krajobraz przedstawia?...

P. Zagórski zaostrzył moją czujność, podniósł kilka ważnych zarzutów i uwag, w końcu udowodnił, że nie napisałem dramatu podług jego miary, czego w zamiarze nie miałem, i co nie dowód, że „forma dramatu nie jest mi właściwą“.

Pozatem w artykule p. Zagórskiego widzę dużo życzliwości, którą umiem ocenić. A że cenię wysoce zdolność i umysł jego, dowód niniejsza odpowiedź.

Poręba Wielka, we wrześniu 1906.

Władysław Orkan.

W kwestji narodowościowej.

(Z powodu rozprawy Raoul'a de la Grasserie — De principe sociologique des nationalités. Paris. 1905).

(Dokończenie).

Jaki jest znak widomy odrębności narodowej? — zapytuje De la Grasserie. Co jest odczynnikiem *(le reactif)*, wskazującym istnienie samoistnej narodowości? I na to odpowiada: tym odczynnikiem jest język. Istotnie, dzisiaj, kiedy społeczeństwa demokratyzują się, głównem i widomem znamieniem osobowości narodowej stał się język, zwłaszcza, jeżeli on już doszedł do wyższego stopnia wykształcenia i posiada poważny skarbiec literacki. I widzimy też coraz powszechniejsze upominanie się o prawa swego ojczystego języka. Narody domagają się równouprawnienia, a wyraża się ono przedewszystkiem w uznaniu praw ojczystej ich mowy. Tam nawet, gdzie mowa ojców, pod naciskiem obcej, wyższej kultury, szła była w zapomnienie, starają się ją podnieść i kształcić. Szczególnie odznaczają się w tem Celtowie. Wymogli oni w Irlandji, że ich język proskrybowany w szkolnictwie uzyskał w 1878 r. prawo obywatelstwa w szkołach niższych, a w 1889 r. w szkołach wyższych. W 1893 r. założono Ligę gaelicką, mającą na celu wskrzeszenie dawnej mowy. W tymże kierunku rozwijają swą czynność: Stowarzyszenie w celu zachowania języka irlandzkiego (Society for the preservation of irisch language) i Celtyckie Stowarzyszenie Literackie. W Szkocji północnej w Inverness zorganizowano kursy publiczne języka gaelickiego i prowadzi się czynna agitacja, ażeby w szkołach nauczanie jego stało się obowiązkowem. I piśmiennictwo celtyckie wzrasta. Powstają czasopisma w tym języku i mnożą się wydania dawnych zabytków piśmiennych.

Zgodność pożycia różnojęzycznej ludności w Szwajcarji jest następstwem tego, że góry i zwycięskie walki przeciwko najezdcom nie pozwoliły tam się ugruntować państwu typu podbojowego. Rzeczpospolita rosła przez wiązanie się ludów przymierzem, a skutkiem tego przybrała ona charakter federacyjny, oparty na umowie. Wolność polityczna i ustrój demokratyczny uniemożliwiły tam ostrą walkę językową.

Wynarodowienie językowe odbywało się i dawniej, ale odbywało się na ślepo, bez planu, samą siłą gwałtu i przemocy. Dawne państwa podbojowe były to państwa terytorjalne, w obrębie których znajdowała się ludność różnonarodowa. W miarę jednak, jak państwo utracało swój dawny charakter prywatny a przybierało publiczny, stawało się ono coraz bardziej narodowem. Pod narodem jednak rozumiano tylko mniejszość uprzywilejowaną.

Dopiero Wielka Rewolucja z końca XVIII. stulecia uznała prawa polityczne całej ludności. Było to uznanie — rzec można — teoretyczne, i trzeba było walki całego stulecia, ażeby główna jego podstawa: p o w s z e c h n e g ł o s o w a n i e stało się zasadniczem prawem państwowem. Tu jednak uwidoczniła się najzupełniej przeciwstawność dążeń narodowych i państwowo-terytorjalnych. Narody chcą być samoistnymi, żyć własnem życiem, posługiwać się własną mową, same się rządzić: niech będzie własny, chociażby mały i ciasny domek. Pragną, by państwo wspierało pracę produkcyjną, a nie było narzędziem uciemiężenia i niszczenia. Mniejszość uprzywilejowana, sprawująca istotne rządy w państwie, pomimo wymuszonego dopuszczenia całej ludności do pewnego w nich współuczestnictwa — uosabia dawne dążenia państwowe. Widzimy to nawet we Francji, gdzie państwo, przeistoczywszy się z monarchicznego w republikańskie, zachowało jednak organizację centralistyczną, która sprzyja biurokratyczno-militarnym rządom, a — jak nowsze badania wykazały — urzędy cywilne i wojskowe, zwłaszcza wyższe, stanowią niejako dziedziczną własność kilkunastu tysięcy rodzin. Klasa ta rządząca żyje z państwa, i im państwo jest większe, tem więcej istnieje w niem posad urzędniczych, tem liczniejsze potrzebne jest wojsko, tem pewniejsza więc jest karjera wojskowa. Podporządkowywując interesy ludności interesom terytorjalnym, hasło Kościoła katolickiego: *unus Dominus, una fides, unum baptisma* (jeden Bóg, jedna wiara i jeden chrzest) tłómaczy po swojemu: jedno państwo, jeden naród, jeden język. Usiłuje więc całej ludności w obrębie swego państwa narzucić jedną narodowość.

Wynarodowienie jednak dzisiaj jest już niemożliwe. Świadomość rewolucyjna, że wszyscy ludzie powinni być równi w swych prawach obywatelskich przeniknęła głęboko w masy ludowe. Prawa narodowości logicznie wypływają z praw człowieka. „My Słowianie — powiada znakomity Manifest Kongresu Słowiańskiego w Pradze w 1848 r. — potępiamy i odpychamy ze wzgardą wszelką władzę przemocy, która obok prawa osobną jeszcze chce zachować wolę swą i ją utrzymać; odrzucamy wszelkie przywileje, wszelkie majątków prawa i tytuły, niemniej wszelkie polityczne różnice stanów, a domagamy się natomiast bezwarunkowej równości w obliczu prawa; żądamy równego wymiaru praw i powinności dla każdego, gdziekolwiek wśród miljonów choćby jeden tylko rodził się niewolnik, tam niemasz jeszcze prawdziwej wolności. Tak więc W o l n o ś ć, R ó w n o ś ć i B r a t e r s t w o wszystkich członków politycznego społeczeństwa, jako przed lat tysiącem, tak i po dziśdzień są znowu hasłem naszem. Podajemy braterską rękę wszystkim sąsiednim narodom, które również jak my gotowe są: u z n a ć z u p e ł n ą w s z y s t k i c h n a r o d o w o ś c i r ó w n o ś ć b e z w z g l ę d u n a i c h p o l i t y c z n ą w i e l k o ś ć i p o t ę g ę i t a k o w ą c z y n n i e p o p i e r a ć i b r o n i ć“.

Interesy narodowe wymagają, ażeby państwa organizację swą centralistyczną przeistaczały w organizację federalną, opartą na uznaniu i wspieraniu wzajemnych interesów całej ludności. Foedus po łacinie znaczy przymierze, a więc łączność z dobrej woli wypływającą. Ustrój federalny jest to szereg autonomji: prawa człowieka, czyli jego autonomja prowadzi do autonomji gminnej (komunalnej) a ta do autonomji krajowej (regjonalnej, kantonalnej). Takim jest ustrój państwa związkowego Szwajcarów i najdalej w tym kierunku, jeśli nie w rzeczywistości, to w zasadzie, posunęło się państwo austrjackie, zapisując w prawach zasadniczych, że 1) każdy szczep ma nienaruszalne prawo zachowywać i kształcić swoją narodowość i swój język; oraz, że 2) wszystkie języki istniejące w krajach monarchji mają równe prawo w szkołach, w urzędach i rozmaitych aktach życia publicznego. Prawa te, wśród ciężkiej wprawdzie walki, wchodzące coraz bardziej w życie, wraz z szerzeniem się wolności i postępem oświaty, mogą prędzej, aniżeli inne państwa,

przeobrazić Austrję w nową Szwajcarję nad Dunajem.

A. Judym w zasługującej pod każdym względem na uwagę broszurze: W kwestji haseł programowych i taktyki, jest tego zdania, że „bezkrytyczna i przesadna ocena ruchu rewolucyjnego w Rosji“ wpłynęła szkodliwie na samodzielność naszych usiłowań rewolucyjnych, co się uwidoczniło także w pewnem usuwaniu dawnego hasła: niepodległości Polski. Ażeby nie zniechęcać demokratów rosyjskich, wysunięto hasło: autonomji Królestwa Polskiego, w tem przekonaniu, że z tem hasłem łatwiej się oni pogodzą. Niezawodnie, jest to przeważna przyczyna. Mniemam jednak, że jest i inna. Jest to przykład zaboru austrjackiego. Wszak narodowość polska — powiadają — ma możność tam swobodnego rozwijania się, i od samych Polaków zależy, ażeby ją tam ugruntować, wzmocnić i wznieść na wyższe szczeble. Pocóż więc wszczynać krwawą i niepewną co do skutków walkę, jeżeli można łatwiejszą drogą dojść do tego samego celu?

Pomijając, że rewolucja stawia inne wymagania, aniżeli dokonywana w warunkach pokojowych praca, że w rewolucji — jak to już nasi ojcowie zauważali — trzeba być rewolucjonistami i starać się w jak najkrótszym czasie osiągnąć jak największe rezultaty — jest jeszcze i inny bardzo ważny powód, dlaczego nasi rewolucjoniści nie mogą i nie powinni opuszczać lub osłaniać sztandaru niepodległości Polski. Sztandar ten bowiem przypomina rozdartym częściom narodu, że jego najżywotniejszem zadaniem jest połączenie tych części w jedną całość, gdyż wówczas tylko odzyska on zdrowe i normalne warunki swego rozwoju. Gdyby się on znajdował, jak n. p. naród czeski, cały wcielony do jednego obcego państwa, to można byłoby jeszcze zastanawiać się nad tem, czy budować własny dla siebie dom, własne zakładać gospodarstwo, co wymaga ciężkiej pracy i wielkich wysiłków, czy też pozostać w tym samym domu, przy tem samem gospodarstwie, ale zapewnić sobie jak najdogodniejsze warunki. Polski naród jest rozdarty, i gdyby dziejowa konieczność zmuszała go pozostawać w cudzym domu, to bodaj byłoby korzystniej dla niego połączyć swe losy z państwem austrjackiem, którego większość ludności zachodnio-słowiańska nie tylko pod względem szczepowym jest mu bliższa, lecz bliższa jest i pod względem kultury i dążeń polityczno-społecznych.

De la Grasserie, mówiąc o środkach, jakimi się mogą posługiwać uciemiężone narody w odzyskiwaniu swych praw, powiada, że w razie ich zawodności:

„Trzeba chwycić się ostatecznego środka, a jest nim rokosz (révolte), i jedynie powstrzymać od niego może obawa niepowodzenia, pociągającego za sobą jeszcze większy ucisk. Mówiono i powtarzano, że powstanie jest najświętszym z obowiązków. Niema żadnej wątpliwości, że pod względem narodowym stanowi to obowiązek, gdyż naród uciemiężony, nie powstając, kiedy to może uczynić, popełnia samobójstwo“.

Bolesław Limanowski.

BRONISŁAW SZWARCE.

PAMIĘTNIKI.

(1834 — 1903).

(Ciąg dalszy).

W samem mieście i na wałach dość ogrodów, bo wogóle cały kraj tak zarośnięty, że kiedy się z jakiegokolwiek pagórka spojrzy na okolicę, nic się oprócz zieloności nie widzi; nie ma śladu owych czystych pól i łąk, które mię tak zadziwiły, kiedym do Polski przyjechał. Pochodzi to stąd, że pańskiego ani gminnego gospodarstwa niema, a wszystkie grunta są podzielone na *fermy* (folwarki); na każdym folwarku wszystko być musi, czego dla gospodarstwa potrzeba, więc i rola i sad i gaj i winnica, a ponieważ wino tu nie dojrzewa, jabłonie dla wyrabiania jabłecznika (sydru), narodowego napoju. Ziemie folwarczne są więc podzielone na pólka, okolone żywopłotem, przy którym rosną dąbczaki; a śród zboża (najczęściej tatarki) sterczą jabłonie. Między polami droga się zmywa deszczami, tak, że tworzą się rodzaje wąwozów, nad którymi wznoszą się pólka i wysoko sterczą żywopłoty z tarniny, grabiny, jeżyny i t. p., wyżej wystrzeliły w górę dęby czy graby. Owe to „wklęsłe drogi“ ogromnie pomagały partyzantom, *szuanom,* w walce przeciw francuskim wojskom; dopiero pod miastem zamiast płotów widać czasem wysokie mury. Lasy bukowe, dębowe, jesionowe są częste i gęste; sosny ani brzozy na lekarstwo nie znajdziesz, topole zdobią tylko rządowe drogi; wierzb bardzo mało, nawet nad

rzeczkami. Pod samym Dynanem cała dolina Ransy obrosła kasztanowymi gajami. Słodki kasztan został prawdopodobnie wprowadzony przez rzymskich zaborców, i często się tam spotyka, chociaż nie tak często, jak w środkowej Francji, gdzie jego owoc stanowi główny pokarm mieszkańców.

Gdy się zapuścisz w pole, niekiedy wygląda z pomiędzy drzew szara, granitowa ferma, tak dobrze w zieloności schowana, że ją odszukać trudno; co kilkadziesiąt staj wznosi się wieża kościółka wiejskiego, a pod nim się tuli kilkanaście domków z kuźnią, karczmą, piekarnią, sklepikiem, szkółką, probostwem, czasem młynem; niby to miasteczko, bo cała ludność rolnicza rozrzucona po folwarkach. Dopiero, kiedy trafisz na *landę*, t. j. gdy nieużytek porosły różowym wrzosem i żółtokwitnącym janowcem, masz wolną przestrzeń przed sobą, czasem, na skalistych gruntach, bardzo rozległą; na niej dosyć często sterczy granitowy kolos, po bretońsku *menhir* (kamień długi), po francusku *pierre levée,* a czasem te ciekawe pudła granitowe z nieociosanych brył, które nazywają d o l m e n a m i (stołowy kamień). Pomimo teraźniejszych arcyryzykownych teorji przedhistorycznych, takie pomniki znajdują się wyłącznie w krajach semicko-celtyckich, od Syrji, przez Krym i Ukrainę, aż do Gallji i Wielkobrytanji; w łacińsko-słowiańskich krajach nigdy ich nie było i niema, chyba tam, gdzie gallski najazd przechodził od Czarnego Morza przez teraźniejszą Polskę i Niemcy na zachód. Dzieje ludzkie od Biblji i Herodota najzupełniej nam wyjaśniają ich pochodzenie, nie przybiegając do żadnej przeddziejowości. Dopiero z takiej landy, oprócz dalekich kościelnych dzwonnic, dostrzeżesz na dalekiej górze ruiny średniowiecznego zamku, chyba że się ukryły, jak w Lehonie pod Dynanem, w jakimś głębokim jarze. Czegoś podobnego do naszych łąk, moczarów i bagien w całej Bretanji nie spotykałem; szpilkowych lasów wcale niema, a drzewa iglaste sadzą się po ogrodach i parkach dla ozdoby. Wieczną zieloność naszych borów zastępuje o s t r o k r z e w, którego mnóstwo, i bukszpan; pierwszy osobliwie, ze swoimi lakierowanymi i kolczastymi liśćmi, z pąsowemi jagódkami, bardzo ładnie w lesie wygląda; jest to z jemiołą ulubiona roślina celtyckich krajów.

Muszę jeszcze dodać, że w mojem dzieciństwie nie miałem pojęcia o tem, co to jest cegła, bom jej nigdzie nie widział; dopiero raz, niedaleko od Dynanu, zobaczyłem pod miasteczkiem C o r s e u l ostatki rzymskiej ceglanej budowy, która około dwóch tysięcy lat przetrwała: cegiełki niewielkie, bladawe, spojone takim twardym cementem, że iskry dają pod młotem. Była to, jak wiemy z dziejów, stanica rzymska, w kraju gallskich k u r j o s o l i t ó w.

W takiej okolicy wyrosłem i tylko opowiadania rodziców i ich tęsknota za innym krajem i za inną przyrodą nauczyły mię, że jest świat inny, niepodobny do mojej zielonej, skalistej i wiecznie zapłakanej Bretanji. Ta tęsknota przypomina pamiętniki generała Kopcia, który się w Syberji zachwycał bagnami Baraby, błotnistej płaszczyzny między Obią i Irtyszem, uważanej powszechnie jako kraj obrzydliwy, a to dlatego, że pochodził z Pińszczyzny, i że te „nieporównanej piękności“ okolice, jak on je naiwnie określa, przypominały mu rodzinne Polesie. A przecie widział Angarę, Lenę i Ocean Spokojny! Ładny to jednak kraj, ta Bretanja, nawet w porównaniu z Górną Austrją, z nadwiślańskiemi polami, z Podhalem, z litewskimi borami i jeziorami, z olbrzymimi stepami i górami Środkowej Azji, z ogromnemi rzekami, tajgami i „golcami“ Sybiru. A dla okrasy Bretanja ma pas z Oceanu i takiego morza nigdzie nie widziałem. Dzikie ono i straszne, ale jakie wspaniałe! Bo od Dynanu do morza wcale niedaleko, jak zresztą wszędzie na Bretońskim półwyspie. Ransa została skanalizowaną i od ogromnego granitowego mostu, długiego na trzysta kilkadziesiąt kroków i spoglądającego z góry na głęboką dolinę, można się było bardzo prędko dostać małym parostatkiem do S a i n t M a l o, starożytnego i malowniczego portu nad M a n s z ą (La Manche), czyli Brytańskim kanałem. Więcej nad trzy polskie mile drogi niema, i tam dopiero można widzieć, jak dokazuje wiecznie rozgniewany Ocean wśród skalistych wysepek pod wysokiemi urwiskami. Jest to jedno z miejsc na kuli ziemskiej, gdzie przypływ jest najwyższy, bo dochodzi do siedmiu metrów. Zresztą okolice Saint Malo, dawno sławne z kankalskich ostryg, stały się w ostatnich czasach nader modnemi i uczęszczanemi i są pewno doskonale znane „kulturnej“ polskiej publiczności.

(Ciąg dalszy nastąpi).

ST. OGOŃCZYK.

Wszystko się pomału traci!

Dziwne jest nabożeństwo do św. Anny na Podhalu. Najstarsze kościółki drewniane jej właśnie poświęcone. A cześć ta przechodzi poza granice i sięga razem z ludem polskim w Węgry. Więc oprócz głównego kościółka niejako macierzystego św. Anny na górze ponad Nowymtargiem w dwu kierunkach idąc na zachód i wschód w Tatry i w Węgry, znajdziemy na Orawie kościółek św. Hanny w Orawicach, a na Spiżu kościółek św. Hanny w Jaworzynie.

Pomówmy o tym w Jaworzynie. Już nie istnieje. Przed trzema laty padł rozebrany ręką Prusaków, właścicieli i rządców dóbr Lendacko-Jaworzyńskich. Tyle przynajmniej, że jakby wiedziony przeczuciem kilkakrotnie kościółek ten i dzwonicę zdjąłem w fotogramach. Trzy lata temu, gdym wyszedł na wzgórze ponad Jaworzynę i już kościółka nie ujrzałem, zaś żamiast niego kaplicę murowaną, podobą swą zupełnie przypominającą kościółki na Śląsku pruskim — doznałem uczucia, jakgdybym stracił znowu kogoś z drogich, co tyle wspomnień w sobie nosili, — a naraz się minęli i razem z ich stratą, postradałem i to, co oni dzierżyli.

Był to kościółek bez proboszcza. Zjeżdżał tu raz na rok na odpust na św. Hannę jegomość ksiądz z Jurgowa. Ludu schodziło się trochę z samej Jaworzyny i z najbliższych wsi, z Jurgowa, Czarnej Góry, Żaru, Rzepisk, czasem i od nas z Podhala. Było to takie święto domowe ich, tych najgłębszych górali, — nazwę ich Jaworzyńskich.

Przychodzili bacowie starzy, co Szymcia myśliwca na kozice, — pamiętali, co opowiadali, jak to, dawno już temu, „pan polski przegrał ich w karty panu węgierskiemu!“ Siedzą bowiem na Węgrzech, a są przecież Polacy! Strojne, szumne zjawiały się Jurgowianki, najkraśniejsze może dziewki w całych Tatrach, w spódnicach zielonych, — bystre, bujne i takie jakieś, jak kozice, zgrabne, zwyrtne.

I ożywiała się Jaworzyna życiem dawnem, minionem. Oj bo zmieniło się tu wszystko. Dawniej przed laty, kiedy tu były kuźnice, wieś wyglądała, jak się patrzy, na Podhalu. Był kościółek na stoku wzgórza, ocieniony drzewami, był rząd chałup góralskich, u wylotu wsi karczma ze żydkiem, gdzie grali co wieczora, a w niedzielę to aż dudniało. Snuły się gromady juhasów, baców, juhasek, idących do hal lub wracających w dziedziny. A hale były wielkie. Koperszady polskie, pod Muraniem, Jagnięca Zagroda, Jaworowa Hala, Szeroka Hala, Holica, Biały Potok, Dunajec i jeszcze kilka.

Ku św. Hannie nieraz skręcali, pomodlił się ten, ów, paciorek krótki zmówił, bo to ta kościółek jakiś był im taki rodzony — a kiedy kogo zęby bolały, to wyrwany gdzieś w dziedzinie kielec od kowala — niósł tam i wkładał w szpary. Znana tam była powszechnie ściana jedna, wyłożona zębiskami ludzkiemi, ściana boleści ludzkich.

Kościółek stawiali dawno, dawno, z pnia. Kiedy, nie wiadomo. Zresztą takie kościółki, co sto kilkadziesiąt lat trzeba odnawiać, więc w stare przyciesi kładzie się nowe płazy i kościółek właściwie odnawia się jak materja żyjąca. Próchno tam stare pod podłogą może leży jeszcze od prapradziadów. Kiedy kościółek stawiali, musiała tu być szczera bukowina, bo wycięto tylko na okół polanę, zostawiając kilka buków przy samym kościele, a wyżej pod górą już znowu zaczynają się buki. Nigdy bowiem góral-by nie zasadził buka pod kościołem, chyba, że już go tam zastał, to zostawił.

Kościółek miał ozdoby wycinane z desek, zresztą kładziony, jak zwykle, na węgieł, przypominał izbę góralską. Tuż przy nim wznosiła się dzwonica, bardzo ciekawej konstrukcji, a gałęzie buka wglądały do samych dzwonów.

Trzy lata temu padł starzec. Wystawił rządca dóbr ks. Hohenlohego, Kegel, ot taką sobie kaplicę, malowaną na różowo.

Razem z całą Jaworzyną, która dziś zmieniła się niepomiernie, stracił się i ten zakątek. Mało już bowiem zobaczy dziś chałup dawnych po wsi. Przeważnie domy nowe, murowanice, kryte dachami płaskimi, polewane smołowcem i przysypane żwirem. I tak spłaszczyła się razem z utratą dawnych szczytów w domach — cała Jaworzyna. Chodzą „jegry“, tyrolczycy brodaci z gołemi kolanami, prowadzą sfory psów, bo „princ“ przyjechali „na polowacke“. A to wszystko niechętne, ani nie chce mówić z „polakiem“, co przyszedł z tamtej ta strony granicy. Oj nic, ino powiedzieć, jak to mawiał o krzyżakach książę biskup Zbigniew Oleśnicki: niemiec psiajucha!

I hale już dawno opustoszały. Dziś Jurgo-

wianie, Rzepisczanie, Łapsianie, Czarnogórzanie nie mają gdzie paść. Wygnali ich „panowie“, ci prusacy! A i księży już niema takich, coby bronili lud od krzywdy, jacy bywali dawniej. O jednym takim opowiadał Sabała niezwykły w grozie i sile wątek, który przypomina powiedzenia Szekspirowskie, a może też być wzorem przemowy agitacyjnej do ludu. Zakończenie przypomina przygody Beniowskiego, który był Słowakiem i mieszkał pod Tatrami.

Przytaczam tę opowieść:

„Juści i przódziéj sie ta samo to przydarzało, jako i tera ten prusak, Lołen a Kiegiel, co ludziom polany a hale odebrali.

„Na świętom Hane beł odpust w Jaworzynie, kany, wiécie, kościół stary stoi. Ksiądz kazał nie barz płono, a końce rzece do narodu tak:

„Ludzie kohani! Zbaccie se ino to, co lasy nie wase — ino pańskie, polany nie wase — ino pańskie, hale nie wase — ino pańskie, ba jacy i piekło nie wase — ino pańskie!!

„Pan sie nań ozgniéwał, ano i wziąn sie go bić.

„Ociec święty go bez to przekląn, co ręke podniós na poświęcanom osobe i musiał pan uciekać. Hybaj, poseł kajsi aze do ziemie Murzynów! Haw mu król dał córke, to sie ś niom ozeniuł i ostał juz haniok!“

Uleciało tak wszystko z Jaworzyny. W karczmie nie grają, bo pan pruski wygnał karczmarza, żeby przypadkiem kto z gości od Zakopanego nie stanął tu dłużej popasem. Więc i nie grają w niedzielę na gęślach i nie usłyszy już tu dzisiaj onej ślicznej piosnki, co się jej nauczył przed laty za Chałubińskiego, Jarząbek i Bartek Bartusiów:

Siekirecka ostra
odciena mi rucku,
podaj mi ma miła
zimnéj wode trosku!

Jaby ci podała,
kie mama nie dała,
boś ty do nas chodziuł
do samego rania,

Kieś ty do nas chodziuł
śpiewali kohuci...
śpiewali kohuci,
jak krasne organy,
kieś ty do nas chodziuł,
suhaj malowany!!

. . . .

Tak to świat wypłoniał i wszystko się pomału traci. Górale jaworzyńscy czują to dobrze, kto im to wszystko zrobił. Nie ten nawet, co się nazywa dziedzicem, ks. Hohenlohe, ale rządca jego, „niemiec psiajucha“. Mówił mi też raz jeden ze starszych Jaworzan: Ja wam ta ino telo powiem, co ten Kiegiel w poświęcanéj ziemie légał nie bedzie!

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Führer durch die moderne Literatur. 300 Würdigungen der hervorragendsten Schriftsteller unserer Zeit. Herausgegeben von Dr. H. H. Ewers unter Mitwirkung der Schriftsteller: Victor Hedwiger, Erich Mühsam, René Schickele und Dr. Walter Bläsing. Berlin. (1906). Globus Verlag. 8-vo, st. 206, z portretami.

Wydawcy pragnęli podać w przytoczonej w nagłówku książeczce rodzaj przewodnika, któryby zawierał ocenę działalności najważniejszych pisarzy współczesnych, stąd też przeważną część książki wypełniają charakterystyki jużto krótsze, jużto dłuższe wybitniejszych autorów. W uwzględnianiu jednak rozmaitych narodowości niema należytej miary, tak n. p. artykułów o niemieckich poetach jest najwięcej, inne narody traktowane są po macoszemu, z literatury polskiej n. p. uważał dr. Ewers za stosowne pomieścić tylko charakterystykę Przybyszewskiego (nazwisko jego przekręcono na Przybyszewsky) i Sienkiewicza. Nie są też charakterystyki utrzymane w tonie przedmiotowym: wydawcy, należący prawie wszyscy do szkoły modernistycznej, wynoszą autorów, należących do ich obozu po nad zasługę, innych natomiast oceniają zanadto surowo, nie uzasadniając nieraz swych sądów; do takich niesprawiedliwych artykułów należy między innemi zjadliwa charakterystyka Sienkiewicza. W opracowaniu poszczególnych artykułów panuje też wielka nierówność, przy niektórych wyliczone są dokładnie tytuły dzieł, często nawet w oryginalnem brzmieniu, wraz z podaniem roku wydania, przy innych brak tych szczegółów. Umieszczony na wstępie krótki przegląd prądów nowożytnej literatury nie jest również bez wad, uwzględnia bowiem przeważnie także tylko literaturę niemiecką. Mimo zaznaczonych usterek, może jednak książeczka w braku innych podobnych wydawnictw oddać pewne usługi, informując o rozmaitych autorach, należy z niej jednak korzystać ostrożnie i sądom wydawców nie wierzyć na ślepo.

Dr. Wiktor Hahn.

NOTATKI.

Muzeum publiczne w Wilnie. W Wilnie zapoczątkowano myśl założenia wielkiego muzeum publicznego krajowego. Sprawą tą zajmuje się głównie Władysław hr. Tyszkiewicz, popiera ją zaś gorąco p. Lucjan Uziębło. Muzeum będzie wszechstronne, ale przedewszystkiem polskie, z uwzględnieniem szerokiem rzeczy litewskich, białoruskich, nawet żydowskich. P. Uziębło chciałby widzieć w tem muzeum także okazy współczesnej sztuki ludowej i celniejsze przedmioty przemysłu artystycznego.

Listy Ujejskiego. U pani Rudnickiej, córki ś. p. Heleny z Mrozowickich Rudnickiej, o którą ongiś starał się ś. p. Ujejski, właścicielki Strzałek ad Bóbrka, znajduje się 150 listów wielkiego poety, z całego prawie życia. Tworzą one bardzo cenny materjał dla zajmujących się twórczością „Skarg Jeremiego.

K. Notz.

Drukiem „DRUKARNI POWSZECHNEJ“ we Lwowie, ul. Akademicka l. 8.